

Jak się bawiono w Paryżu

w dniu 14 lipca

Paryż jest takim niezwykłym miastem, które umie się bawić na wet podczas kryzysu. Nie znaczy to, że Paryżanie są lekkomyślni, że wyrzucają pieniądze w dancin-gach i w barach, tak jak to czyniła warszawska bankrutka. Francuz jest pracowity jak mrówka, oszczędny jak Shylock, ale potrafi gdy zechce bawić się jak dziecko, i jak dziecko cieszyć się życiem.

Naprzykład taki dzień 14 lipca — to jakby wesoły antrak, w po-ważnej sztuce, rekreacja po skoń-czonych lekcjach. Mało kto zasta-nawia się, na jaką pamiątkę „u-fundowano“ to święto — każdy wie jedno, że w dniu tym należy schować smutki i troski do lamu-sa, i że się trzeba głośno śmiać, tańczyć, jednym słowem „rigo-ler“.

Zdawaloby się, że w dzisiej-szych posępnych czasach nawet Paryż stracił zdolność radowania się egzystencją. Sądząc jednak ze sprawozdań prasowych — dzień 14 lipca upłynął w stolicy Fran-cji pod znakiem śmiechu.

Pogoda sprzyjała — czytamy w Petit Parisien — w parkach i na wielkich avenues roło się od prze-chodniów. Łagodny wiatr niósł wonie wędzących kwiatów. Na moście Concorde rozbrzmiewała serenada, amatorskiego zespołu. Na czele orkiestry kroczyła tęga pani, w białych spodniach i męskiej czapce i wygrywała na trą-bie wesoły refren popularnej pio-senki. Na ulicach było coraz wię-

cej gapiów. Parapety mostów ob-lepione były ludźmi. Chwilami za-palały się w górze fantastyczne ognie. Drzewa odcinały się chiń-skim cieniem, na tle wieczornego nieba.

Parlament płaoną tysiącami świateł. Migotały perły elektrycz-nych lampek, na szerokich scho-dach, i na smukłych kolumnach. Trójkolorowe światła tańczyły na wietrze. Fontanny na placu Con-corde mieniły się niby żywe sro-bro. Nie wiadomo było co prze-de wszystkim podziwiać — czy luk triumfalny, czy rumaki Coy-sevoxa.

W takich chwilach Paryżanin zakochany jest w swoim Paryżu.

W okolicach Bastylli aż czarno od ludzi. Z otwartych barów płyną tony muzyki, słychać wszędzie głośne rozmowy, śmiechy kobiet, dźwięki mandolin. Nigdy chyba Paryż nie widział takich tłumów, nie przystoił się w takie barwne festony i chińskie latarnie, nigdy chyba nie widziało się tylu kar-nawałowych ozdób, i tylu kielisz-ków, na stolikach kawiarni i szyn-ków. Z jakich to olbrzymich lamu-sów wyciągnięto owe koleje krze-seł i stolików... Było ich chy-ba przeszło milion, w dwudziestu okrągłych stolicach. Kelnerzy z tru-dem przeciskali się przez zwartą rzeszę. Pot spływał z pod zielo-nych jedwabnych czapek handla-ryz lemonjady.

Co krok szalały, kjoski, straga-ny. Głośniki powtarzają melodje,

wygrywane na harmonjach i me-chanicznych pianinach.

Po środku placu ustawiono pia-nino. Artystka w ponsowej sukni wystukuje niezmordowanie staro-świecką polkę, której nikt nie słu-cha. Nieco dalej tłusta matrona, przebrana za admirała wali w be-ben, akompanując gramofonowi, ukrytemu w sklepiu.

Posag Wolności tonie w błękit-nej, poświęcając reflektorów, kolum-na oblepiona lampkami zdaje się kiwać, jak pijak, a skrzydlaty mło-dzian stojący na jej szczyście z trudem utrzymuje równowagę.

Na słynnej rue de Lappe, gdzie ongiś grasowali prawdziwi apa-sze, a dzisiaj grasują tylko snoby i turyści od Cooka, legendarnych „musettes“ tańczy się biginę i bluesy. Zato w wąskich zaułkach w okolicy Petit Sully drepcze się na chodniku, i na jezdni, do wto-ru harmonji, a w oknach kołyszą się papierowe lampjony i głowy gapiów. Co chwila ktoś krzyczy w zachwyceniu: — aaa — to pie-kne! i zadziera łeb do góry, by się przyjrzeć fajerwerkom, po-dobnym do spadających gwiazd. W ratuszu także wre zabawa, a po skończonym balu wszyscy wa-lą na ulicę, żeby podziwiać sztu-czne ognie, deszcz złoty, błyska-wice niebieskie i czerwone.

Przed gmachem giełdy tańczono do upadłego, przy akompanja-mencie orkiestry ukrytej pod na-miotem. Dystygowany weteran

dyrygował zespołem, wygrywają-cym staroświeckie piosenki. Re-publika francuska — jeszcze nie wymyśliła jazzu — Paryż lubi tań-czyć, ale po swojemu. Czy to bę-dzie fox, czy polka, „pas“ jest zawsze to samo. Zwłaszcza w dniu 14 lipca, gdy tańczą także staru-szkowie, pamiętający dobre przed wojenne czasy.

W pewnej chwili lunął deszcz. Pomimo to tańczono dalej. Do-piero gdy ulewa zamieniła się w potop, a kieliszki na kawiarnia-nych tarasach napelnily się wo-dą — ludziska zaczęli uciekać, chroniąc się pod namioty i stra-gany, zupełnie jak w filmie René Claire'a. Stoliki i krzesła odgry-wały rolę parasoli, niektórzy u-parci tancerze wirowali w dal-szym ciągu, pod baldachimami z gazet. Ale musieli ustąpić. Zło-sliwy deszcz pogasił lampjony.

Najszybszy i najpiękniejszy



Speicher, prowadzący w słynnym wyścigu kolarskim „Tour de France“ podczas przejazdu przez Rivierę, otrzymuje „na szcze-scie“ pocałunek paryskiej królowej piękności.

Arktyda woła...

Drugi międzynarodowy rok polarny. — Sowieckie wyprawy. — Miesiące, w których na lodach panuje ruch

Archangielsk, w lipcu.

Nadeszły miesiące, dwa krótko-miesiące, kiedy się lody na dalekiej północy ożywiają i kiedy trzeba wy-korzystać każdy ciepły dzień, aby stopniowo wydierać tajemnicę Ark-tydy. Rok bieżący, ogłoszony jako drugi międzynarodowy rok polarny, pełen jest życia na polarnych koń-

czynach kuli ziemskiej.

Roald Amundsen, jedyny czło-wiek na świecie, który był na obu biegunach kuli ziemskiej, pewnego razu powiedział, że „nudzi mu się na świecie, gdyż nicma już co odkry-wać“ ale dodał: „zresztą, znam to uczucie, gdy Arktyda woła. Arktyda woła, Arktyda woła“. Te słowa przy-pominają nam się w Archangielsku, w zarządzie Północnej drogi morskiej. Drzwi się z trzaskiem otwie-rają. Wchodzą marynarze. Są tu doświadczeni marynarze i mehani-cy, którzy przebyli już kilkanaście tysięcy mil drogi wodnej. Przycho-dzi tu i młodzież i niemało też słuchaczy politechniki morskiej. Je-szcze niedawno wabiła ich zagranica, prosili, aby wysłano ich do Ber-gen, Liverpoolu, Rotterdamu, New-castle. Obecnie każdy z nich szuka miejsca na okręcie, udającym się w podróż do krajów polarnych. Teraz wabi ich Arktyda i zdaje się, że jest to owo wołanie, o którym mó-wił stary Amundsen. Ale wdzowie są niezmienione. Zabierają z sobą do Arktydy tylko doświadczonych ma-rynarzy.

Dnia 28 sierpnia 1928 r. wyjecha-ła „Sjedowen“ wyprawa z załogą, która przeźniować miała na Ziemi Franciszka Józefa. W tych pierw-szych pięciu latach wschodnia poły-wa Arktydy wzbogaciła się o cały szereg nowych stacji z załogami zi-

mującymi: w przyłdku Nadziei, na Nowej Ziemi, na wyspie Radolfa, na wyspach Kamieniewa, na Ziemi Pół-nocnej, w przyłdku Czeljuskina. Zimujących musi się zlużować. Zao-patrzać w żywność. Opracowuje się i zmienia plany pochodów do Ark-tydy. Ścisła na dzień obliczane są nadejścia łamaczów lodów i ich od-jazdy. Oprócz znanego już powtór-nego pochodu potężnego łamacza lo-dów Czeljuskina Wielką północną drogą, ustalono dalsze podróże so-wieckich łamaczów lodów do Ark-tydy. Dnia 15 do 20 lipca opuszczą Archangielsk równocześnie „Sibirja-kow“ i „Sjedow“. „Sibirjakow“ zlu-żuje zimujących na przyłdku Cze-ljuskina i powróci do Archangielska. „Sjedow“ popłynie aż do Ziemi pół-nocnej, zlużuje tam czterech zim-ujących i uda się w kierunku przyłd-ka Ołowianego i wybuduje tam no-wą stację. Jednym z tych łamaczów lodów prawdopodobnie uda się wy-prawa do zatoki Tolla lub zatoki Tajmirskiej (zależą od stanu lodu). Na północy wyprawa ta zabawie dwie zimy, aby tam, zwłaszcza w rejonie Tamiru, zbadać warunki produkcji morskiej i wybrzeżowej (futry i zwierzyzna morska). Do-wódcą wszystkich wypraw, które mają w krajach polarnych przeżimo-wać, mianowany został znany ba-dacz polarny N. N. Urvancew, któ-ry już dwa lata spędził na Ziemi Północnej i pierwszy wspólnie z G. A. Uszakowem nakreślił mapę tej ziemi.

W tym samym czasie uda się w podróż wyprawa geologiczna. Na czele tej wyprawy stoi S. I. Belew, a jej zadaniem będzie zbadać ujście rzeki Chatangi.

„Sibirjakow“ czeka jeszcze dru-ga podróż, a mianowicie we wrześ-niu. Łamacz lodów uda się do Mo-rza Karskiego, a na swym pokładzie będzie miał specjalną naukowo-ba-dawczą ekspedycję.

Dotychczas jeszcze nie postano-wiono ostatecznie, którym łamaczem lodów uda się załoga, mająca zlużo-wać zimujących w zatoce Spokojnej i na wyspie Radolfa (Ziemia Fran-ciszka Józefa). Prawdopodobnie bę-dzie to „Sjedow“ lub „Rusanow“.

Wspomnieć również należy o t. zw. ekspedycji Leno-chatangskiej. Będzie to właściwie pierwsza kara-wana okrętów handlowych, skiero-wana drogą morską do wybrzeży Jakucka. Komendantem wyprawy handlowej będzie łamacz lodów „Krasin“, który spotka się z okrę-tami handlowymi prawdopodobnie w okolicach wyspy Dicksona. Towary, które mają być dostarczone jakuc-kim spółdzielniom, a mianowicie materiały przemysłowo-łowieckie i żywnościowe, znajdują się już w Archangielsku. Okręty Leno-chatang-skiej wyprawy opuszczą Archau-gielsk już dnia 20 lipca.

Wielkie projekty które nie weszły w życie

Wielkie projekty i wynalazki absorbowały uwagę ludzkości od setek lat. Wiele, większa część tych projektów została tylko projek-tami. Ale to, co wczoraj jesz-cze było marzeniem, dzisiaj, dzie-ki postępowi nauki i techniki, sta-ło się rzeczywistością.

Fabrykacja złota

Odwiecznym zagadnieniem by-ła np. kwestja fabrykacji złota, której średniowieczni alchemicy nadali nazwę „kamienia filozoficz-ego“. Od setek, od tysięcy lat szarlatani stosowali najroz-maitsze sztuki i sztuczki, mające na celu wyprodukowanie złota z ołowiu, czy z innego metalu. Dzi-siaj, dzięki badaniom Rutherford'a, wiemy już, że teoretycznie fa-brykowanie złota z innych metali jest możliwe; rozbięcie atomu i przemiana atomów pozwalają je-den pierwiastek przemienić w dru-gi... w teorii. W praktyce rozbi-cie atomu nie jest jeszcze do-stępne fizyce współczesnej.

O źródła energii elektrycznej

Od czasu zastosowania elektry-czności liczne były próby wyzysk-kania morza, jako źródła energii elektrycznej. Kilka projektów wy-zyskania np. różnicy temperatur w głębi i na powierzchni morza wypróbowano w zatoce Meksykań-skiej i nad morzem Śródziemne-m, ale okazało się, że są to metody zbyt kosztowne i niepraktyczne.

Jako źródło energii usiłowano oddawna już wyzyskać wiatr. Od-nośny projekt wyzyskania siły na pędnej wiatru dla wprowadzenia w ruch dynamomaszyn i produk-o-wania energii elektrycznej opira-cował inżynier niemiecki, Honnef;

według jego pomysłu należałoby wznieść wieże żelazne wysokości 400 metrów, a szerokości 22 me-trów, u szczytu których znajdo-wałyby się trzy olbrzymie koła wiatrakowe napędzane przez wiatr. Realizacji projekt ten się nie doczekał.

Jak wiatr i morze, tak też usi-łowano w ostatnich czasach wy-zyskać dla celów produkcyjnych wulkany. Inżynierowie włoscy o-pracowali projekt skaptowania sił wybuchowych i gazów wydostają-cych się z wulkanów w celu uru-chomienia przy ich pomocy ma-szyn. I ten projekt, aczkolwiek szczegółowo opracowany, pozostał dotychczas na papierze.

Wygląd skorupy ziemskiej

Do dziedziny pozornie nie-mniej fantastycznych projektów należą opracowane zresztą nau-kowo plany przemian wyglądu skorupy zwierchniej naszego glo-bu. Do takich projektów należy np. plan geologów austriackich obniżenia poziomu morza Śród-ziemnego o 15 metrów, a to przez zamknięcie zapomocą tam cieśni-ny Gibraltarskiej i stopniowe wy-pompowywanie wody z morza Śródziemnego; w ten sposób ład nadbrzeżny wynurzyłby się z pod wody, niektóre wyspy uzyskały-by połączenie z lądem, a nato-miast obecne porty stałyby się miastami kontynentalnymi.

W projekcie tym, który zagra-żałby kwitnącym portom wybrze-ża afrykańskiego, chodzi jednak o co innego, niż o uzyskanie pasma nowego lądu: celem jego miałoby być nawodnienie Sahary. do któ-rej miałyby być skierowane wody odciągnięte z morza Śródziem-nego; w ten sposób olbrzymia pustynia przekształciłaby się w wielki kraj urodzajny, mogący wyżywić miliony ludzi. Środki techniczne, jakimi dzisiaj rozpo-rządzamy, pozwoliłyby bezwarun-kowo na urzeczywistnienie po-dobnego planu, gigantyczne jed-nakże musiałyby być środki fi-nansowe niezbędne dla zrealizo-wania gigantycznego projektu, któryby jednocześnie pomógł do

zwalczenia częściowego bezrobo-cia przez zatrudnienie przy wy-konaniu olbrzymich robót setek tysięcy bezrobotnych.

Tunele i rakiety kosmiczne

Natomiast dawne, utopijne w swoim czasie plany przeprowa-dzenia tunelu pod cieśniną Gi-braltarską i pod kanałem la Man-che, połączenia kontynentu z Ang-lią, a Europy z Afryką, są dzi-siaj technicznymi „drobnostka-mi“ i przytem niezbyt kosztowne-mi nawet. Jeżeli stają wykonaniu ich na przyszłość pewne wzglę-dy, to nie natury technicznej ani finansowej.

Jednym z ostatnich projektów był pomysł rakiet kosmicznej, w której możnaby odbyć podróż na

najbliższego naszej ziemi sateli-tę — księżyc. Profesor Oberth wy-konał nawet rakietę próbną w ma-łych rozmiarach, pędzoną wybu-chami gazów. Start tej rakiety nie dał jednak rezultatów zachę-cających. W tej dziedzinie ma-rzenia o komunikacji międzypla-netarnej są jeszcze tylko marze-niami. Tak samo jak marzeniem są pomysły porzucenia się op-tycznego z Marsem, lub też przy pomocy fal radiowych.

W każdym razie niejedno z u-topijnych dotąd marzeń stało się obecnie ciałem i, jak się okazuje, przy ciągłych zdobycach techni-ki i wiedzy, marzenia i śmiałe projekty zyskują z czasem trwa-łą podstawę i ze skrzydeł fanta-zji przenoszą się na twardszy grunt realizacji.

Tragiczna podróż poślubna kapitana Ussher

Dzienniki angielskie rozpisują się na temat tajemniczego wy-padku, jaki zdarzył się w głębi afrykańskiej dżungli, w brytyj-skiej kolonii Kenja. Jeden z naj-bogatszych kolonistów tamte-jszych, były oficer gwardji królew-skiej kapitan Ussher ożenił się niedawno z córką adwokata, z Nairobi. Ussher rozwodził się ze swoją pierwszą żoną, a pani Ma-bel porzuciła męża potę, by się połączyć z ukochanym. W swoim czasie romantyczna ta afery wy-wolała wiele wrzawy wśród miej-scowych Europejczyków. Jak wia-domo — nigdzie bardziej aniżeli w odcitych od świata cywilizo-wanego oazach i dżunglach, nie kwitną plotki i komeraże. Nielicz-ni „biali“ szpiegują się wzajem-nie i zatruwają sobie życie. Zresz-tą kapitan Ussher był tak popu-larny, że mu przebaczone wszy-stko, nawet to że odbił żonę zna-nemu farmerowi.

Państwo Ussher postanowili od-bić podróż poślubną samolotem, w głąb Afryki. Kapitan Ussher był doskonałym lotnikiem, miał dwa turystyczne aparaty i zwykły

był przenosić się z miejsca na miejsce, tylko drogą powietrzną. Samochodów nie uznawał. Można więc było zaufać wytrawnemu sportowcowi. Tymczasem los po-kierował inaczej.

Po skończonej ceremonji weselnej uszczęśliwieni kochankowie poze-gnali się z rodziną i natych-miast wsiedli do samolotu. Naza-jutrz widziano ich w miejscowo-ści Mbeya. Byli zmuszeni tutaj popasać, gdyż zerwała się silna burza, ale nad ranem wyruszyli w dalszą drogę. W dwa dni póź-niej przybiegł do Mbeya jakiś mo-rzyn i oznajmił, że znalazł w głę-bi dżungli szczątki strzaskanego samolotu, oraz zwłoki mężczyzny i kobiety.

Zorganizowano zaraz pomoc — było jednak za późno. Pani Ussher musiała ponieść śmierć podczas katastrofy, kapitan żył jeszcze parę godzin, jak o tem świadczyć pozostawione przez niego notatki.

— Spadliśmy o 8-jej godzinie, w odległości trzynastu wiorst od Mbeya. Dostałem się w korko-ciąg. Straciłem szybkość. Napró-

no starałem się wyprostować a-parat. Runęliśmy w gęstwinę drzew i krzewów. Moja ukochana poniosła śmierć odrazu. Gdy wy-ciągnę rękę mogę dotknąć jej naj-droższej głowy. O Boże — wy-bacz mi i błogosław jej. Ona na to zasługuje — ja nie. To ja od-powiadam za wszystko. Jestem mimowolnym sprawcą jej śmier-ci. Mabel była moim aniołem. Nie przeżyję jej.“

W tem miejscu notatki się koń-czą. Kapitan Ussher pod wpły-wem rozpaczny popełnił samobój-stwo — świadczy o tem głęboka rana w jego skroni i rewolwer, trzymany przez niego zeszytnia-łą ręką.

Można sobie wyobrazić jakie wstrząsające wrażenie wywarła na mieszkańcach Nairobi śmierć państwa Ussher. Gdyby nie zapo-biegliwość murzyna, który natra-fiwszy na szczątki samolotu zbu-dował tam rodzaj kopca, i na-znaczył drogę do Mbeya kamieniami — nie odnaleziono by miejsca katastrofy. Znajduje się ono bo-wiem w głębi dżungli, zdala od uczęszczanych traktów.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal-ty (na wszystkich stronach po 6 szpal-ty): na 1-jej stronie — 1 zł. w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobnie po 20 gr. za wyraz; duże litery w ogłoszeniach „drobnych“ liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 545-80 (Centrala). Sekretarz redakcji przyjmuje inte-resantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 19—20.

ADMINISTRACJA: Warszawa. Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56; Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Poznań, ul. 27 grudnia 5, tel. 18-10; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto cze-kowe P. K. O. Nr. 13550.